



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Strusie hodowane.

STRUSIE HODOWANE.

Ptaki te oddawna poszukiwane były przez myśliwych dla pięknych piór ogonowych, w które panie stroić się lubią; zabijano więc niemiłosiernie ogromną ilość strusi, aby im

wydrzeć tę ozdobę. W ostatnich czasach osadnicy, zamieszkali w Afryce południowej, obmyślili na to daleko lepszy sposób; zamiast tępić biedne ptaki, dają im wszelkie wygody, hodując je starannie, tak zupełnie, jak w naszym kraju hodują się gęsi, kury, indyki. Młode strusie z jaj wylęgle dają

się z łatwością oswoić i nie mają żadnej ochoty uciekać. Gdy dorosną, można im odjąć piękne pióra, które później odrastają na nowo. Rysunek nasz przedstawia właściciela, obliczającego swoje strusie w zagrodzie.

DO DZIEWECZKI.

Kędy rankiem w szczerém polu,
Wiatr żyznemi chwije kłosa,
Błysnął świeży kwiat kłokółu,
Usrebrzony w kropie rosy;

I przez cały dzionek Boży
Krasną pysznił się koroną,
Lecz nim zagaśł promień zorzy.
Schylił głowę uznojoną.

* * *

W noc miesięczną, w noc majową.
Błysła gwiazda na przestrzeni,
Złoto z barwą purpurową,
Cudnie mruga z jej promieni.

I nadciągnął obłok bładny,
Mgławym przyćmił gwiazdę mrokiem,
Rubinowych błysków ślady,
Nadaremnie gonię okiem.

* * *

Z ponad miedzy, w lot do góry
Chyżże skrzydła wzbił skowronek,
Uganiając złote chmury,
Czczył piosenką Boży dzionek.

Ale przyszły dni zamieci.
Sennie, blade słonko płonie,
I ptaszyna szara leci,
Szukać wiosny w innej stronie.

* * *

Dziewczę, świeże two jagody,
Jakby kwiat co płonie w życie,
Lśni two oko wśród swobody,
Jak ta gwiazda na błękiecie.

O dziewczeczko! pieśni one,
Co w majowe nucisz ranki,
Czyste, ciche, nieskażone,
Jak skowronka brzmią wiośniarki.

Lecz gdy przyjdą letnie skwary,
Gdy znój zmiecie krasę z lica,
Cięż nad czołem przemknie bładny,
Mętą najdzie łąkę żrenica.

A żaloba, gdy kruczemi
Zaszeleści głucho pióro,
Czyliż dźwigniesz krzyż od ziemi,
Czy podążysz z nim do góry?

O podążysz! nie trać wiary,
Bóg pokrzepia ciche łono:
Gdy piołunne zsyła czary,
Siłą z nieba niezwalczoną.

Na pociechę w życia bolu,
Ze łąką dziewczę pomyśl skrycie,
I ja byłam kwiatkiem w polu,
Byłam gwiazdą na błękiecie.

Ale czemuż wonie róży,
Czem ułudne gwiazd odbłaski,
Wobec chwili, gdy po burzy,
Błysnąć z nieba promień łaski?

Wątek nowy w dni twe wplecie,
Samolubne łyż osuszy,
I modlitwą, Boże dziecię,
Ściągniesz niebo do twój duszy.

Seweryna Duchńska.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

X.

Jak Złoty pacholik ślubował przyjaźń panu Zawiszy.

Tak rozmawiając, weszli państwo do ciemnowej nawet w jasne południe sali, jak zwykle w starych dworcach o grubych murach i wąskich a nielicznych, głęboko osadzonych oknach. Było i chłodno zawsze w takich komnatach, to też ogień, nie z kłód wprawdzie, ale z pachnących, szeroko ułożonych na ogromnym kominie gałązek, zawsze był pożądany, nawet latem. I teraz płonął on jasno, oświecając obszerną, lecz dosyć niską komnatę i Złotego pacholika, który z lutnią w rękach, przytuliwszy do niej jasną główkę, stał wsparty plecami o ścianę, we wdzięcznej jak do tańca lub do malowania, mimo własnej wiedzy, postawie, zadumany, jakby zapomniał o gościach. I miód już stał w dzbankach z kubkami koło nich na małych stolikach, ustawionych pomiędzy każdą parą krzesel o wysokich poręczach u komina.

— Śpiewaj, Złoty pacholiku mój! — powiedziała pani, gdy wszyscy zasiedli i skosztowali słodkiego płynu, a cisza zaległa głęboka.

I ozwały się śpiewne tony lutni, ciche i nieśmiałe z początku, aż wzmocniły się i wzrosły w potęgę po chwili a wtedy niemięj od nich brzmiący, srebrzysty głosik przyłączył się do nich: Złoty pacholik śpiewał:

Próżno, królu, sypiesz dary,
Obietnice i zaszczyty,
Ja do matki wracam staręj,
Do mój ziemi rodowitęj.

Daléj nieś mié, koniu mój,
Z ciemieżcami w święty bój!

Król Jagiełło szyki wiedzie
Na obłudne tam Krzyżaki,
Dla mnie miejsce jest na przedzie,
Gdzie krakowskie wieją znaki!

Daléj koniu, wierny mój,
W sprawiedliwy nieś mié bój!

O Krzyżacy, wy rycerze,
Wy rycerskich cnót zabyli,
Miał stać murem świętej wierze,
Wyście wierny lud gnębili!

Daléj koniu, dzielny mój,
Bronić wiernych nieś mié w bój!

Bom ja po to rycerz prawy,
I przepaskę noszę złotą,
Bym strzegł wiary i enéj sławy,
I obstawał za sierotą.

Daléj, chyży koniu mój,
Bronić ludu nieś mié w bój.

Ojcze, matko, domownicy,
Dajcie słowo pożegnania,
Bo już pieśń Bogarodzicy
Wiatr, od szyków mi przygania.
Dalej, koniu, druha mój,
Za tą pieśnią lećmy w bój!

Pieśń pisana jest ciałem bez ducha, śpiewak dopiero ducha w nią technicznie śpiewając, jeżeli sam tym duchem jest ożywiony. Gdy dźwięki pieśni, śpiewanej przez Złotego pacholika, przebrzmiały, pan Zawisza powstał, przystąpił do małego śpiewaka i kładąc mu rękę na jasnej, opuszczonej teraz na piersi głowce, rzekł:

— Chłopaczku, tyś jest rycerz z ducha!

— Och... to uczyni mnie prawdziwym rycerzem, tobie podobnym, weź mnie za giermka, weź mnie na wojnę z sobą... szlachetny rycerzu mój! — zawołał Złoty pacholik, padając na kolana przed uwielbionym bohaterem dziecinnych marzeń swoich.

— Ależ, dziecino, ty nie masz chyba więcej nad dwanaście lat! — rzekł Zawisza Czarny, wzruszony zarówno, jak i wszyscy obecni — nie możesz przeto jeszcze być giermkim!

— Och, rycerzu! ja taki duży już jestem, z koniem i zbroją umiem się obchodzić, kto tam domysli się, że nie mam jeszcze lat czternastu! — zawołał znowu pacholik, uniesiony zapałem, nie wiedząc sam co mówi. Ale zaledwo wymówił, już spostrzegł przecież iż pobłądził mimowoli, zadrżał z przerażenia, załamał ręce, upuszczając lutnię swoją i zalewając się łzami rzewnymi, biadał żałośnie:

— O ja nieszczęśliwy! cóż ja powiedziałem! teraz dopiero czuję, jak niegodny jestem zaszczytów rycerskich, skoro kłamstwem i nieprawością dostąpić ich chciałem! Teraz pewno już nigdy nie wolno mi będzie giermkim zostać!

Zawisza Czarny spojrzał na własnego ojca i na innych obecnych rycerzy, a czytając myśli w ich twarzach, rzekł podnosząc klęczącego w rozpaczy chłopczykę:

— Uspokój się, pacholiku Złoty, bo w świętej księdze napisano jest, że i sprawiedliwy siedm razy na dzień upada w grzechu, tedy i tobie przebaczą jeszcze ustawy rycerskie błąd z nierozwagi chwilowej i z rycerskiego właśnie zapалу popelniony mową, a przed którym sam się natychmiast cofnąłeś, gdyś się na nim spostrzegł. Nawykaj i dalej czcić prawdę tak, abyś z czasem nie umiał i nie mógł nawet nie chcąc jej znieważyć; czas chyżo leci, przyjdzie i dla ciebie chwila wstąpienia na stopień giermka, bądź gotów, bo wtedy ja poproszę o ciebie pana ojca mego, a tymczasem przyjmij przyjmij przyjaźń moją już dzisiaj, bo dzisiaj już szanuję ja w tobie przyszłego brata rycerza!

I domawiając tych słów, Zawisza Czarny pocałował chłopczykę, pasując go niby tym pocałunkiem na przyszłego brata. Co się z pacholikiem Złotym stało w tej chwili, tego on sam nie wiedział, bo prawie rozum i przytomność stracił ze wzruszenia i radości, gdy bohater wszystkich snów jego przyjaciele i bratem go uznał. Rzuciwszy się do nóg tego starszego brata, całował on jego ręce i nogi, łkając i powtarzając z głębi serca te tylko wyrazy:

— Ślubuję! przyjaźń wierną, ślubuję do skonu!... więcej nie był wstanie Złoty pacholik wymówić w chwili tej, która na zawsze została mu pamiętną, i postanowiła o całym jego przyszłym życiu.

Od tej chwili mały Jaśko z Dębinki, albo raczej Złoty pacholik, jak go dla odróżnienia od przebywającego dawniej na tym samym dworze ojca jego nazywano, zmienił się do niepoznania. Bo przedtem rozmaicie bywał. Malcy zawsze, odkąd świat światem, płatali figle najrozmaitsze, i karceni bywali za nie odpowiednio, dopóki nie ustatkowała się powoli, nazbyt żwawa zrazu krew dziecinna. Od takich to i tym podobnych rzeczy bywał po dworach pan marszałek nadworny, chociaż co do szlachetnych pacholąt, jako przyszłych rycerzy, wyrokował w najwyższej instancji zawsze sam pan, rycerz, kasztelan, władający zamkiem, ale wykonanie wyroku spadało przecież na marszałka. Tedy i Złoty pacholik w swoim

czasie miewał niekiedy pamiętne konferencye z panem marszałkiem, gdyż pod względem swawoli nie ustępował ani na włos swoim towarzyszom. W chwilach chłopięcego rozigrania, lutnia i pieśni serdeczne szły w ką, przyszłe i teraźniejsze obowiązki rycerskiego pacholęcia usuwały się jakoś z przed oczu, i Złoty pacholik bisurmanił się razem z kolegami, wedle wyrażenia pana marszałka, z którym następnie za wyrokiem samego pana Garbowskiego ciężkie niekiedy bywały porachunki... Raz naprzykład łotrzyki pacholiki ustroili malutką, gapiową troszeczkę pannę Solską w czapkę z ogromnymi oślemi uszami, taką, jak wkładana bywa za karę ostatnim próżniakom, osiełkom, uczniom w szkołach najniższych, i wmówili malcy w panienkę, że to jest prześliczne głowy ubranie, i tak ją ustrojona wpuszcili, leciuchno i delikatnie popełniając we drzwiach, na wielką salę wieczorem wobec całego dworu... A przecież panna Solska, acz maluchna, była tak dobrą szlachcianką, jak i oni wszyscy, tedy nie należało w łatwowiernej córeczce ubliżać ojców poważe, a nadto nie należało zaprawiać się w złośliwości nie-ludzkiej względem maleństwa, i zwłaszcza nie należało czynić tego szlachetnym pacholikom, którzy, jako w przyszłości rycerze, powinni byli przeciwnie wprawiać się w obronę i poszanowanie słabości i niewinności. Tedy rzecz cała oparła się o samego pana, a w rezultacie nastąpił porachunek z panem marszałkiem, acz wielce złagodzony od pańskiego wyroku, a to na wstawiennictwo samej dobrej pani, jako bezpośredniej zwierzchniczki malców.

(d. c. n.)

Opowiadanie pani Adamowej.

Dnia pewnego, podczas wakacyj w gościnnym domu państwa S. na Podlasiu zebrali się liczne grono młodych panienek. Dwie córki gospodarza, uczennice czwartej i piątej klasy pensyi w Warszawie, zaprosiły parę koleżanek z miasta, a i panienki z sąsiedztwa przyłączyły się do ich towarzystwa. Gwaro tam było, wesoło wśród tego kółka, ożywiona rozmowa nie ustawała ani na chwilę, przypomniano sobie różne przygody pensyonarskiego życia, opowiadano zabawne anegdoty o dawniejszych i teraźniejszych profesorach, przytaczano szczegóły ciekawe z niedawno odbytych egzaminów, dysputowano też po trochu, chociaż różnica zdań nigdy nie prowadziła do sprzeczki. Lecz zwolna rozmowa przybrała poważniejszy nastrój, parę westchnień nawet dało się słyszeć, panienki widocznie natrafiły na jakiś przedmiot mniej wesoły, a jednak dość żywo je obchodzący, łatwo to było poznać, i po głosie, i po gestach. Zwróciło to uwagę starszych pań, siedzących w pobliżu, a jedna z nich, pani Adamowa, najbliższa sąsiadka państwa S. podeszła do panienek i zapytała z uśmiechem:

— Czy nie przeszkadzam? bo coś tu tak wygląda, jak gdybyście spisek jakiś knuły, moje panienki.

— Przynajmniej nie brak nam do tego ochoty — odrzekła Andzia, starsza córka państwa S. — uknułybyśmy wszystkie spisek i sprzysiężenie, gdyby to mogło uratować ofiarę prześladowania, nad którą serdecznie ubolewamy.

— A czy wolno wiedzieć, o co to idzie? — zapytała pani Adamowa, siadając obok panienek.

— Czemu nie — mówiła Andzia — niema tu żadnej tajemnicy, a przyzna zapewne kochana pani, że obecna tu ofiara zasługuje na współczucie — wskazała ręką jedną z panienek i dodała, jakby przedstawiając — Marynia B., moja koleżanka.

Pani Adamowa spojrzała namłodą dziewczynkę i lekkie zdziwienie odmalowało się na jej twarzy, bo ta, nad którą tak ubolewano, wcale jakoś nie wyglądała. Była to ładna brunetka, rumiana, o mince figlarniej, chociaż w tej chwili zmuszała się widocznie do okazania smętnego wyrazu,

składając usta w sposób żaloszny, podczas gdy oczki błyszczące strzelały mimowoli wesołością.

— Cóż więc za nieszczęście spotkało pannę Marynię? — spytała p. Adamowa; a wtém, jakby przypominając sobie, dodała — czy pani jesteś córką pana B., adwokata z Warszawy?

— Tak pani.

— Znałam dobrze matkę pani, wiem, że już nie żyje od lat kilku.

— Prawie nie pamiętam mamy — rzekła Marynia, której twarzyczka w téj chwili rzeczywiście się zasępiła.

— Otóż widzi pani — odezwała się Andzia — matka ją osierociła małym dzieckiem, ojciec jednak otaczał jedynaczkę taką troskliwością, że była szczęśliwą, aż póki nie spadła na nią jak piorun wieść straszna...

— Cóż takiego? — z zajęciem pytała p. Adamowa.

— Ojciec uwiadomił ją przed kilku dniami, że ma zamiar ożenić się powtórnie. Nieszczęśliwa będzie więc miała macochę!

Andzia powiedziała to tak patetycznie, że wszystkie panienki, zgrozę przejęte, zwróciły oczy na Marynię, która westchnęła głęboko, i starała się przybrać wyraz bolejący, chociaż nie bardzo jej się to udawało.

— A czy panna Marynia zna swoją przyszłą macochę, czy to w rzeczy samej straszna jaka osoba? — spytała p. Adamowa.

— Znam ją trochę z widzenia — odrzekła Marynia — wydała mi się nawet bardzo miła, póki nie wiedziałam...

— Że macochą zostanie — dokończyła pani Adamowa z nieznacznym uśmiechem — to rzecz prosta, gdyby nawet była przedtém aniołem, teraz przecież musi się zmienić w szataną, aby się utrzymać w charakterze macochy z bajki.

— Pani żartuje — rzekła jedna ze starszych panienek — a jednak to naprawdę jest bardzo smutne i nam wszystkim żal szczerze biednej Maryni, bo trzeba wejść w jej położenie.

— Nikt lepiej odemnie w położenie téj nieszczęśliwej ofiary wejść nie może, bo wiem z doświadczenia, co to znaczy, ja także miałam macochę.

Pani Adamowa mówiła to głosem dziwnie wzruszonym, a gdy umilkła, panienki spostrzegły, że łzy miała w oczach:

— A co! — wołała Andzia, składając ręce w sposób tragiczny — otóż macie dowód najlepszy, co to znaczy macocha! na samo wspomnienie przebytych cierpień, straszego prześladowania, pani Adamowa łez powstrzymać nie może.

Wszystkie dziewczęta spojrzały z ciekawością na tę, którą już w bujnej swéj wyobraźni obdarzyły palmą męczeńską, Marynia na dobre usta złożyła do płaczu; pani Adamowa uśmiechnęła się łagodnie i rzekła:

— Te dawne dzieje w rzeczy samej tak żywo stanęły mi w pamięci; ale skoro już mowa o macochach i nieszczęśliwych ofiarach ich złości, mam wielką ochotę opowiedzieć wam, kochane panienki, o tych przejściach moich z macochą, a może panna Marynia, podobnem nieszczęściem zagrożona, cośkolwiek z tego skorzysta.

— O, prosimy, droga pani! — wołała Andzia, inne powtórzyły za nią: — Prosimy, bardzo prosimy. A p. Adamowa opowiadała w te słowa:

— Matka moja zakończyła życie w tydzień po mojem przyjsciu na świat, rodzeństwa nie miałam, byłam więc jedynaczką, ukochaną, pieszczoną przez ojca, rosłam bez troski, otoczona najczulszemi staraniami. Ojciec nie chciał mnie nigdy powierzyć, na krótko nawet ani babce, ani ciotce, a do lat siedmiu pielegnowała mnie pocziwa mamka moja Katarzyna. Kobieta ta namiętnie prawie była do mnie przywiązana, zalewała się łzami, gdy ojciec przyjął nauczycielkę i zapowiedział, że przejdę pod jej opiekę, błagała, aby mogła przynajmniej pozostać w domo i choć zdaleka patrzeć na swoją kochaną panienkę. Ojciec, wzruszony takim przywiązaniem, przyrzekł Katarzynie, że nigdy naszego domu nie opuści i nie rozstanie się ze mną.

Źle to było podobno, bo Katarzyna, jakkolwiek w gruncie najlepsza w świecie kobieta, niebardzo była rozsądna,

a chociaż umiała troskliwie pielegnować małe dzieci, o wychowaniu podrastających panienek nie miała wyobrażenia. Najmocniej przekonana, że nauczycielka zamęcza mnie nauką i niepotrzebnymi wymaganiami, znienawidziła ją i ciągle mnie przeciw niej buntowała. Nauczycielka ta była to osoba dobra i cierpliwa, musiało jej się jednak w końcu przebrać cierpliwości, bo w pół roku dom nasz opuściła. Dopieroż to radość była dla Katarzyny, bo nim się druga znalazła, ona znów nie odstępowała mnie ani na chwilę. Ojciec zajęty gospodarstwem nie mógł w to wglądać szczegółowo, co się w domu działo, gdy widział pieszczotkę swoją zdrową, rumianą i wesołą, nie pytał o nic więcej, a Katarzynie ufał, znając jej wielkie przywiązanie do mnie.

Wstyd mi doprawdy, gdy sobie te czasy przypominę; musiała być ze mnie nie lada grymaśnica, bo w ciągu lat kilku przewinęło się w naszym domu kilkanaście nauczycielek; nieraz liczyliśmy je obie z Katarzyną i nie mogłyśmy się doliczyć.

— Ja bo nie wiem — mówiła Katarzyna, wzruszając ramionami — poco panience te gubernantki. Umie panienka już wszystko, co trzeba, na książce ślicznie czyta, i na polskiej, i na francuskiej, pisze tak, jak sztych, krakowiaka zagra aż nogi same skaczą, i czego tu się jeszcze uczyć?

Niezmiernie też lubiła przypominać rozmaite zdarzenia z mojego dzieciństwa, rozrzewniała się przytém, czasem aż łzy obcierała rękawem, pocziwa kobieta oczywiście uważała to za smutną bardzo konieczność, żem ja musiała wyrość, a ona mnie już dziś nie mogła chwycić na ręce i zanieść gdzieś w pole, do lasu, gdzie niema tych nieznosnych gubernantek i książek.

— Haj haj! — mówiła — gdzie to te czasy, kiedym to ja moją złociuchną panienczkę ubierała w śliczne, długie sukieneczki, a w rączkę dała kółeczko kościane, albo srebrną piszczałeczkę z dzwoneczkiem, i szłyśmy sobie obie, gdzie oczy poniosą. A zawsze panienczka taka była rozumna, że się ludzie wydziwić nie mogli. Raz pamiętam idę ja do téj furtki, co tam za ogrodem warzywnym wychodzi na łąkę, chciałam pójść z panienczką do jagniąt, bo to tak kochaneczka moja lubiła zawsze słuchać jak się woła na jagniątkabaz, baz, baz! Przychodzę ja do furtki, patrzę, skobel odzwany, a furtka sznurkiem zawiązana i tak obmotana, że w żaden sposób jedną ręką nie mogłam tego rozplątać. Więc cóż ja robię? panienczkę kładę na ziemi, na trawce, boć to jeszcze było maleństwo, ot takie — tu wskazywała Katarzyna, rozkładając ręce, jakie to ze mnie było wówczas maleństwo — i biegnę czempredzój furtkę odmykać. Inne dziecko byłoby się rozplakało, a moja panienczka nie, ino leżała sobie śliczniutko, jak aniołeczek, dzwoni dzwoneczkami i szczebiocze, niby skowroneczek: na, na, na!

Wszystkie te szczegóły o mojej piastunce niezbyt waspwnie zajmują, leaz wstęp ten koniecznie był potrzebny do wyjaśnienia dalszych moich dziejów; wpływ téj nierozsądnej, choć niezawodnie pocziwéj kobiety bardzo był dla mnie szkodliwy. Miałam już rok trzynasty, gdy dnia pewnego nazajutrz po odejździe niewiem już której nauczycielki, ojciec mój kazał mi usiąść przy sobie, a uściskawszy mnie czule po kilka razy, powiedział, że ma mi coś bardzo ważnego do powiedzenia, coś takiego, co mię ucieszyć powinno. A gdy zaczęłam się dopytywać z wielką ciekawością, bo w żaden sposób odgadnąć nie mogłam, ojciec oznajmił mi nakoniec, że mi wkrótce przywiezie mamę, dobrą mamę, która mię będzie kochała, pamiętała o wszystkich moich potrzebach, a nawet zajmie się sama dokończeniem mojego wychowania.

Wiadomość ta spadła na mnie tak niespodziewanie, że w pierwszój chwili nie wiedziałam sama, czy się mam cieszyć, czy martwić. Nie byłam już małym dzieckiem, zrozumiałam więc odrazu, że ta mama, to będzie żona ojca; pani i gospodynin naszego domu, że przybycie jej pociągnie za sobą ogromne zmiany. Nowość ma zawsze urok dla młodzieży; to też i ja, gdy przeminęła pierwsza chwila zdziwienia, ucieszyłam się naprawdę, klasnęłam w ręce i zawołałam:

— O, jakże to dobrze! a kiedyż ja tę mamę obaczę?



moja panienczka leży sobie śliczniutko... (str. 292).

Gawędy podsłuchane u niemnowej fali.

przez M...a.

(Dokończenie).

Ojciec uradowany, bo nie spodziewał się zapewne, że sprawa z rozpieszczoną córeczką tak łatwo pójdzie, zaczął mię znowu ścisnąć i całować, potem wyjął z pugilaresu miniaturę, na której obaczyłam twarz młodej kobiety prawdziwie anielskiej piękności.

— Ach, jakaż śliczna! — wykrzyknęłam mimowoli.

— Jest równie dobra jak piękna — odpowiedział ojciec i zaczął mi opowiadać, że młoda panienska, która ma zostać jego żoną, była nauczycielką w pewnym domu, gdzie musiała uczyć cztery panienki, starsze i młodsze; pracowała więc od rana do nocy z wielką cierpliwością, rodzice tych panienek odchwalić się jęj nie mogli. I znowu mówił ojciec, jakie to wielkie szczęście i dla niego, i dla mnie, że taka dobra, wykształcona, nieoceniona osoba będzie czuwała nademną z matczyńską troskliwością.

(d. c. n.)

— Jakto? chodźcie po lesie na około waszego legowiska tropicie i chwyacie ludzi i z nich żaden ani sam nie ucieknie ani was nikt nie schwyci?

— A pocóżby miał chwytać swój swego? Czybyś ty chwycił mię lub uciekał, gdybyś mię tak ot w głębi lasu napotkał... — te słowa mówiąc, młody swawolny Franc narzucił w mgnieniu oka na siebie odzienie Margora, zdjęte dla gorąca przy pracy i ujawszy długi nóż do ręki, zaczął iść kocim czy lisim krokiem, bystro rzucając oczyma z podełba tak, jak jak Litwin, tropiący zwierza w lesie. Kilku pracujących wężników aż krzyknęło na ten widok ze zdziwienia:

— Człowieku! ależ ty Litwin chyba jesteś! — zawołał Margos, ręce do nieba wznosząc.

— A Litwin, ale malcem porwali mię Krzyżacy, wychowali, dali poznać mi prawdziwego Boga, i z czasem zostanę i ja rycerzem krzyżackim! — odpowiedział z wielką dumą Franc.

Na te jego słowa Margor osłupiał jeszcze bardziej, niż gdy poznał w nim Litwiną, ujrawszy go we właściwej odzieży; osłupiał tak, że aż zaniemówił zrazu, po dłuższej dopiero chwili rzekł, kiwając siwą głową:

— O straszna nikczemności ludzka!... słyszałem, że można przewrotnie hodowaniem ułożyć wilka i lisa, aby na własnych współbraci polowali, ... ale po człowieku nigdybym się tego nie spodziewał. Och, och, ... Franc, tyś to mnie zmógł, na ziemię powalił i związał, a zkąd ty możesz wiedzieć, czyś ty nie mój rodzony syn?... mnie także Krzyżacy synka matulkiego porwali przed laty!...

Te słowa wyrzekłszy, stary Margor zamilkł i zabrał się do swjej pracy, a wielkie łzy kapwały mu na ręce żyłaste. Inni niewolnicy poszli za jego przykładem, ze szczególnym jakimś wzruszeniem usuwając się, aby Franca nie dotykał. Franc, wesół i dumny przed chwilą, stał teraz niemy i przerażony, nie wiedząc sam dobrze dlaczego. Coś się w nim odezwało, co dotąd spało w głębiach duszy; sierota, nieznający uczuć rodzinnych, poczuł nagle grozę, jaka powiała nań od Litwinów, przerażonych tem, co on uczynił własnemu ojcu. Było to prawie ojcostwo, bo któż mógł zaręczyć, czy Margor nie był istotnie ojcem Franca?... Franc poczuł się Litwinem; sen, ochota dojadła i swawola odbiegły go od téj chwili. Więźniowie, a zwłaszcza stary Margor prędko to spostrzegli i nagle nadzieja ożywiła omdlewające ich dusze: zanim obronny zamek zbudowanym zostanie, należało koniecznie dać znać w głąb Litwy o zagnieżdżających się tu wrogach, mógł to uczynić którykolwiek z więźniów, gdyby tylko udało mu się uciec z pod nadzoru, a nadzorować ich między innymi i Franc, zaufany Komtura, Franc, w którym przebudziła się teraz dusza litewska... Więźniowie porozumiewali się oczyma.

Tymczasem budowa twierdzy postępowała szybko pod gwałtownym naciskiem komtura, który dniem i nocą naglił, śpieszył, pilnował, strażował sam nieledwie, ogarnięty jakimś szaleństwem niepokoju, jakby sprawdzało się na nim przekleństwo starego Litwina, które nieraz we śnie brzmiało mu w uszach. Potrzebował na koniecznie obronnego zamku, bardziej jeszcze dla siebie, niż dla zakonu, aby mieć nareszcie jakiś punkt oparcia dla dalszych swoich zamiarów; miejscowość którą Friedbergiem nazwał, była mu dogodną i przeto wszystkimi siłami starał się i śpieszył, aby się na niej umocnić.

Tak więc wszystkie żywe dusze na owęj „Gorze spokoju” wrzały niepokojem, jakby za karę, że zamęciły go dawnym téj okolicy mieszkańcom; wszystkie, prócz jednej: młody giermek, synowiec komtura, sam jeden szczerzy zakonnik, szczerze obowiązkom oddany, pełnił je spokojnie i swobodnie. Miał on zaś powierzony sobie nadzór najbardziej tajemniczej części robót, bo budowa sklepów i ganków podziemnych, do czego nie Litwinów już, lecz najzaufanych własnych ludzi użyto, a uczony młody ich przywódca nie lenił się osobiście przykład w téj pracy im dawać, byle zadosyć uczynić woli stryja, naglącego gorączkowo o pośpiech.

Po dniu takiej uciążliwej pracy stał młody, uczony giermek pewnego wieczoru na szczycie wysoko już nad ziemią wybiegłej budowy, odżywiając świeżem wonnem tchnieniem lasów piersi zmęczone całodziennem wdychaniem podziemnej stęchlizny, i jednocześnie odżywiając ducha obowiązkowemi a miłemi dlań modłami. Modlił się serdecznie, patrząc w niebo i prosząc Boga aby budowa, na który wyniosłym już szczyt stał teraz, posłużyła na chwałę Bożą i na prawdziwe dobro ludu miejscowego. Nie wiedział, że z szafasu, w którym spali więźniowie pod strażą Franca, patrzano na niego przy księżycowem jasnym świetle, i słuchano wyrazów modlitwy, bo nikt tam nie spał naprawdę i tylko szeptało pocichu.

— Ojeze, zlitujcie się, nie kaźcie mi zdradzać chrześcijan,

braci moich; zlitujcie się ja nie mogę! — szeptał Franc, nad którego umysłem Litwini panowali już oddawna skrycie.

— A zdradzać matkę twoją Litwę mogłeś? a rzucić o ziemię mnie, ojca twego, mogłeś? — pytał szeptem, ale z okrutnym wyrzutem stary Margor.

— Ja wtedy zapomniałem, że Litwin!

— Zapomnij teraz, żeś chrześcijanin!

— Nie mogę, oni nauczyli mię czcić jednego Boga!

— A cóż to jest czcić jednego Boga?

— To znaczy żyć prawdą i cnotą!

— Prawdę? toż więc prawda była, co ten stary Hans powiedział mi w imieniu chrześcijan, że przynosi nam „spokój” gdy oni tymczasem przybywają, aby podbić Litwę naszą?

Franc spuścił głowę zawstydzony:

— I pomiędzy dwunastu apostołami znalazł się jeden kłamca i zdrajca! — powiedział po chwili i dodał, przypominawszy, że do pogan mówi, którzy o apostołach nie wiedzą: — W każdym narodzie i w każdej wierze może się znaleźć człowiek zły i głupi, bo gdyby wszyscy byli dobrzy i mądrzy, nie działałoby się na świecie to, co się dzieje!

Poganin spojrzał na niego wzgardliwie:

— A gdzież są mądrzy? — zapytał z urąganiem.

— Mądry? — jęknął młody Franc, Litwin nawrócony — Oto jednego z nich masz! oto nań patrz! oto mądry...

Margor spojrzał we wskazaną stronę, i mimo wiedzy i woli rysy jego, wykrzywione szyderstwem, uspokoiły się:

— Ten — rzekł — ten, który tam stoi na murach niedokończonych?... A wszakże to jest synowiec komtura waszego, giermek, hm... wiesz co, gdyby takich jak on było więcej, to możeby też więcej pogan naszych chrześcijanami zostało, bo on jest taki, że choćbyś go do rany przyłożył, to się zgoi...

— To możeby jego iść spytać, co robić z tą raną, która teraz mię boli?... — spytał, kładąc rękę na sercu Franca młody i zakłopotany. Margor zastanowił się mocno nad tém pytaniem:

— Dobrze — rzekł po chwili namysłu — idź i spytaj tego mędrcę, zobaczymy, co on tobie odpowie, i wedle tego postępować będziemy.

Franc nie namyslał się ani chwili, postąpił prosto i otworzył ku młodemu, szlachetnemu giermkowi, zatopionemu w niebiańskiej kontemplacji i zapytał, przyklekając mimowoli:

— Szlachetny panie... otom jest poganin, któregoś wy na chrześcijanina wychowali, Litwini jeńcy dawni ziomkowie moi, upominają się o swoje prawa, i chrześcijańska nauka, i bracia upominają się o nie także, powiedz mi, panie co ja mam uczynić, aby nikogo nie zdradzić?

Młody, szlachetny giermek, odwiódł oczy swoje z niebiańskiej na twarz młodego sługi Franca, popatrzył, podumał i rzekł z uśmiechem spokojnym, zdradzającym, że przysłuchiwał się rycerz chrystusowy daleko więcej podobno wiedział o prawdziwych przyczynach tego pytania, niż Franc przypuszczał:

— Na to jest tylko jedna rada: trzeba jednych i drugich po chrześcijańsku kochać, jak braci.

— O panie i bracie mój — szepnął poganin nawrócony — jakże to uczynić, kiedy Litwini...

Franc urwał w pół słowa, spostrzegłszy, że o mało Litwinów nie zdradził, a giermek dokończył spokojnie:

— Kiedy Litwini chcą, abyś sam pobiegł z wiadomością mi o nas w głąb Litwy, albo któremu z nich uciec dopomóż?

Głuchy jęk stłumiony ozwał się we wnętrzu pobliskiego szafasu, giermek spojrzał w tę stronę i rzekł litościwie:

— Biedni wy, i my biedni, dopóki królestwo Boże nie przyjdzie! Tymczasem pójdź ze mną...

I wyszli dwaj młodzi przyjaciele za oszańcowany obóz strażę ani myślały im przeszkadzać, oni szli, szli bardzo daleko, aż gdy różana jutrenka zabłysła na niebie, giermek zatrzymał się bardzo daleko od obozu, w głębi niezmiernie dalekiego ustronia, ukląkł i głośno odmówił modlitwę Pańską, a Franc go naśladował, potem wstawszy, szlachetny młody tak mówił:

— Moja dusza rozdarta jest między dwoma uczuciami, tak samo, jak twoja, bracie; jeżeli będę wierny zakonowi, to muszę zdradzić kogoś, kto mię wychował i kocha, i ja go kocham, i na odwrót; modliłem się, prosząc Boga o natchnienie, co czynić i uznałem, że najlepiej będzie modlić się dalej. Oto jest ustronie prawie niedostępne, tu pozostanę, będę żył miodem leśnym, owocami i rybą z niedalekiego Niemna, a jeżeli gdzie kiedy w pobliżu usłyszę jęk ludzki, to dam pomoc jeżdżącemu; tak będę żył, póki nie umrę, nie uczynię wprawdzie nic dobrego, ale nikogo przynajmniej nie zdradzę... ty czyn jak chcesz, jesteś swobodny.

To powiedziawszy, pobożny giermek ukląkł i modlił się znowu gorąco, nie śmiejąc spojrzeć za siebie, choć serce biło mu o to, że jeżeli Litwin, jak wilk chowany, wróci do kniei swojej, to niezadługo śladu nie będzie z obozu chrześcijan na Friedbergu i zginie stryj ukochany. Kiedy nareszcie po żarliwej modlitwie wstał po raz drugi, krzyknął z radości i rzucił na modlącego się także Franca:

— Niechaj świat idzie swoim torem, a my pójdźmy swoim! — powiedział Franc, uśmiechając się przez łzy.

Dwaj przyjaciele uściskali się i nigdy więcej nie wyszli z puszczy, do której się schronili. Byli to dwaj pierwsi pustelnicy na Litwie, o których przecie świat nigdy nie wiedział. Na Friedbergu nigdy także nie dowiedziano się, co znacząco zniknięcie dwóch młodzieńców. Litwini, przypuszczając że Franc poszedł w głąb Litwy, czekali napróżno współbraci; dumny komtur, po długich poszukiwaniach i rozpaczach, uznał, że synowiec ukochany musiał być pojmany gdzieś w lesie przez pogan. Zamek został wprawdzie wybudowany, ale dumne zamysły osobiste komtura znikły, jak sen wraz ze zniknięciem tego, który był koniecznym do ich, spełnienia mając uwiecznić nazwisko wstawione przez stryja. Jakby za karę jego dumy, nie pozostało nawet to nazwisko zamkowi przezeń zbudowanemu, nawet ta nazwa kłamliwa Friedbergu niepozostała miejscowości, której chciał ją nadać dumny Krzyżak, bo wkrótce nadano ją innemu zamkowi, i tylko czasem historyk, niepewny sam swego mniemania, przypuszcza, że dzisiejszy Gielgudowski zamek mógł kiedyś nosić tę nazwę. Więcej nikt nie wie!

— A zkądże ty wiesz o tém, babino? — spytał, gdy starszka zamilkła.

— Z kąd? ztąd, że owi dwaj pustelnicy ryby z mojej łaski dostawali — odrzekła — wiem o tém wszystkim, bo ja jestem fala niemnowa.....

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Ułożonóm było, że spoczniemy na miejscu przez czas konieczny do nabrania sił, a potem, najawszy u naszych gospodarzy sanie i renifery, pojedziemy śnieżnymi drogami do Karasjoki. Pomimo postanowienia spoczynku, w parę godzin przywyklszy trochę do reniferów, zaczęliśmy ostrożnie chodzić koło nich i zaglądać w kąty po namiotach. Lapończycy sami albo przez Hansa, odpowiadali chętnie i uprzejmie na wszelkie nasze pytania. Dowiedzieliśmy się, że jest ich trzy rodziny, które mieszkają wspólnie i renifery swe trzymają razem, aby łatwiej sobie i im radzić, idąc „do morza”. A do morza idą renifery zawsze na wiosnę, same z siebie, więc właściciele muszą iść za niemi, pilnując, aby trafiać w pochodzie na dobre pastwiska, bo choć renifer sam czuje, gdzie są najlepsze, to przecieży zdycha z głodu, gdy kopiąc w śniegu natrafi pod nim na skorupę lodową, pokrywającą mchy, bo

takię skorupy już on nie przebije, choć wkopie się nieraz w śnieg całkowicie. Więc trzeba zważać, aby na takie pola nie zaszedł.

Trzeba także pilnować gdy się renifery ze sobą pogniewają i walczą, bo zdarza się wtedy, że tak się splątają wzajem straszniemi rogami, iż tylko człowiek siekierą może je rozdzielić, przecinając rogi i uratować, inaczej zdechłyby znowu z głodu, pozostawszy tak splątane. Trzeba także bezustannie walczyć ze szkodliwym robactwem, broniąc przed niemi renifery. A właśnie latem najmniej szkodliwych owadów jest na wybrzeżach morskich i doskonale tam są pastwiska; dlatego to idzie się na lato do morza. A ponieważ wszystkie renifery tak iść muszą, przeto cała ludność lapońska wędruje z wolna ze swemi stadami ku morzu. Muszą też pilnować i młodych, bo matki nie potrafiłyby ich zawsze ochronić od zimna i śmierci, zwłaszcza z początku, gdy ta działwa jest bardzo wątpliwa.

Na zimę wędruje się znowu od brzegów w głąb kraju, i gdyby kto chciał zatrzymać renifery, one poszłyby gwałtem same, bo gdy trawy zbraknie na wybrzeżach, to już tylko w głębi kraju znajdują się pod śniegiem mchy i porosty, jedyne wtedy ich pożywienie. W głębi kraju rozdzielają się rodziny, słabsi tulą się razem ściśnieni w niedużych chatkach tak licznie, że już z samego tego nagromadzenia się w ciasnocie przybywa trochę ciepła do nigdy nie wygasającego ogniska. Tylko najsilniejsi ludzie pozostają wtedy z reniferami, pilnując ich na pastwiskach zimowych, bo zwierzę to ani na chwilę nie znosi żadnego zamknięcia.

Rozmawiając o tém wszystkim z Lapończykami, a raczej słuchając, jak ich ojciec wypytywał, wszedłem do tuż obok stojącego namiotu. Była to obrzydliwa buda, na wskroś przesiąknięta tłuszczem i brudem. Stanowiło ją kilka drągów, na których rozpostarto pospajane z sobą skóry renifera, dziurawe bardzo i ponakrywane znowu płatami z bawełnianych czy innych jakichś tkanin, co wszystko razem ze sobą tak było zbite brudem, tłuszczem i sadzą, pod wpływem deszczów i śniegów, że nie łatwo mogłem jedno od drugiego odróżnić. Dziurawe owe skóry musiały pewno pochodzić z reniferów pokaleczonych przez robactwo i jako nic nie warte poszły na domowy użytek.

W pośrodku tego namiotu palił się ogień pod kociołkiem, a ogień ten nie gasi się nigdy, gdyż oprócz ciepła i pożywienia, daje on jeszcze obronę przeciw okropnym komarom. Dym z tego ogniska wypełnia całe wnętrze namiotu, tak, że z trudnością i wpatrzywszy się dopiero mogłem dojrzeć mnóstwo worków i skrzynek wkoło ścian, mnóstwo narzędzi i trochę broni na ścianach, stopy skór, i sporo małych beczulek. Na środku około ognia siedziało w ściśnionej gromadce kilkoro dzieci, dla ochrony od komarów jedynie, bo dzień był nieustający na dworze i ciepło dość znaczne, tak, że nawet myśmy je uczuwal, a Lapończycy pozdejmowali większą połowę skózanego odzienia z siebie. Zbliżyłem się do owej gromadki dzieci, aby zobaczyć, co robią? sądziłem, że jedzą z kociołka. Ale któż mi uwierzy, gdy powiem co ujrzałem? ja sam z trudnością zaledwo mogłem własnym uwierzyć oczom... oto jedno z dzieci trzymało książkę i czytało głośno.

Powiedziałem o tém ojcu. Dzieci natychmiast uprzejmie podały nam ową książkę, gdyśmy okazali chęć jej obejrzenia. Była ona drukowana literami, podobnemi do gotyku, książki tak drukowane dla Lapończyków widzieliśmy już nieraz, ale ojciec sam wzruszał zawsze ramionami na tę filantropijną troskliwość rządu, utrzymując, że nie może być pożyteczną, ponieważ język ten piśmienny, przyjęty i używany przez niektórych Lapończyków norweskich i szwedzkich, nie jest wcale ogólnym tych Lapończyków językiem. Wspomniałem już zdaje mi się, że oni różnią się tak bardzo dyalektem pomiędzy sobą, iż mieszkani na wybrzeży północnej Tany, niełatwo porozumieć się może z mieszkańcem wybrzeży południowo-zachodniej Lulei. Bardzo naturalnie rzeki są tu niejako ogniskami dyalektów, ponieważ mimo życia koczowniczego, pokolenia trzymały się zawsze mniej więcej tychże samych

rzek, nad którymi się osiedliły, a to z powodu, że przyzwyczajenie ma wpływ na renifera, który w wędrówkach swych lubi powracać na znajome miejsca. Różnica dyalektów takąż prawie napotyka się i w innych krajach, w Chinach między innemi. Otóż ojciec utrzymywał zawsze, że język piśmienny, jaki na podstawie dyalektów starano się wytworzyć w Laponii, mógłby co najwięcej stać się językiem uczonych lapońskich, gdyby tacy istnieli, ale nigdy nie może się stać ogólnym, a przeto nie wpłynie na oświecenie tego ludu, o co właśnie rzecz idzie.

Tak niegdyś utrzymywał mój ojciec, a otóż w chwili, gdy rozmawialiśmy z osmolonym dzieckiem lapońskim, czytającym ową książkę, ojciec przyznał, że się omylił i uroczyście oddał hołd pracy zacnych filantropów. Dzieciak umiał czytać doskonale, czemu przestaliśmy się dziwić dopiero przekonawszy się, że pomiędzy całém młodszem pokoleniem nie było ani jednego, któryby czytać i pisać nie umiał. Tylko sami ojcowie trzech zjednoczonych rodzin nie posiadali téj umiejętności, gdyż za ich młodocianych czasów nie była ona jeszcze tak obowiązującą, jak jest dzisiaj:

Książka wywołała całą rozmowę, z której dowiedzieliśmy się dziwnych rzeczy. Znajdowaliśmy się w Laponii norweskiej, w której równie jak w szwedzkiej i w całej Sawecyi i Norwegii nauka elementarna jest stanowczo obowiązującą, odpowiednie rozporządzenia bywają ściśle wykonywane, skutkiem czego, wedle zapewnień naszych gospodarzy, w téj dzikiej, skórąmi odzianej ludności, niema dziś młodzieży nie umiejącej czytać i pisać. Czy tak jest w istocie? czy nie duma mówiła przez usta naszych gospodarzy? nie sprawdziliśmy tego, ale tak nam powiadano, a obecne tu dzieci umiały czytać. Lapończycy za to muszą płacić rządowi podatek, ale są podzieleni na pewne działy, wedle zamożności i wedle ilości dzieci i krewnych nawet, jakich każdy ojciec rodziny ma do wyżywienia; i do tego stosuje się wysokość podatku; żąd wypada, że im kto ma więcej dzieci, tém mniej go nauka kosztuje, bo przez wzgląd na ciężary ojca, zmniejsza mu się podatek. Na zasadzie zaś bardzo starożytnych praw krajowych Lapończycy norwescy nie należą wcale do poboru wojskowego.

Trzeba więc przyznać, że pomimo nędzy swojej, Lapończyk ma słuszość, nie czując się nieszczęśliwym. Gospodarz nasz i Hans John opowiadali, że nie dawno jeszcze „w ich kraju” byli nauczyciele, wędrujący ze swemi przyborami tak samo, jak cały lud węduje ze stadami reniferów, i dziś jeszcze gdzieś niegdzie znajdują się tacy, ale w ogóle porządek jest już inny. Kraj podzielono na prowincye, a te na mniejsze jeszcze poddziały, niby gminy czy powiaty, a każdy taki poddział ma swój punkt główny, niby siedzisko władz, którego jednak miastem nazwać trudno, jak sami przekonaliśmy się o tém. W każdym takim punkcie znajduje się stanowczo szkoła, i każdy ojciec lapoński musi chcąc nie chcąc utrzymywać dziecko swe w szkole téj gminy, do której sam jest zaliczony, bo gdyby dopuścił się pod tym względem niedbalstwa, to musiałby zapłacić grubą sumę pieniężną za karę. Gdyśmy wpadli w rozmowę na tę okoliczność, wszyscy trzej rozmawiający z nami ojcowie lapońscy zaczęli okrutnie wzdychać i ciężko narzekać na ścisłą kontrolę rządową pod tym względem:

— Byle dzieciak odrósł od ziemi, oho, już go dawaj do szkoły, albo zaraz niewiedzieć kto dopatrzy, niby ten bąk dokuczliwy w powietrzu i trzeba płacić karę! — biadali ojcowie, nie koniecznie dobrze rozumiejący własne i dzieci swych dobro, a jednak dumni byli z ich umiejętności.

— A jakże tedy posyłacie dzieci do szkoły, gdy oddalicie się od niej, idąc do morza z reniferami? wszak i tutaj jesteście daleko od wszelkiej gminy? — spytałem.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

(Od Ludwika Niemojowskiego dla Cyganeczki z nad Horynia).

Kiedy nie skryte ciemnym obłokiem
Słońce w promiennój jaśnieje drodze,
Jam wciąż przy tobie, i krok za krokiem
Twym śladem chodzę.

Chcesz mnie dogonić — chyżo uciekam,
Pragniesz uciekać — biegnę za tobą,
A gdy się wstrzymasz — stoję i czekam:
My zawsze z sobą.

Słynę na świecie kształtów przemianą,
Któręj podlegam zawsze bezwiednie:
Ogromny wzrostem wieczór i rano,
Maleję we dnie.

Jeśli zaś słońce zgaśnie na niebie,
Albo się czarnym skryje obłokiem,
Próżno mnie szukasz do koła siebie,
Gdyż niknę z mrokiem.

Niech z nad *Horynia* ta *Cyganeczka*,
Co tak zadania układa ładnie,
Pomyśli nad tém wszystkiém troszeczką,
A pewno zgadnie.

Czarodziejska sztuczka.

(Dla Muszki od Dziurki).

Jadzia — Nikodem — kura — ono — na. — Odejmij od tego imię męskie, kobietę, część twarzy, zaimek i przysłówkę, a zostanie osoba wielce ci życziwa.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Szarady:

Ka — li — graf.

Zagadki:

Jadą dwaj czarni. Czarny wraca, zabiera trzeciego czarnego i przeprawia się na drugą stronę rzeki. Jeden czarny znów wraca, zostaje, a dwaj biali przeprawiają się na drugą stronę. Wracają zamtąd jeden biały i jeden czarny. Wsiadają dwaj biali. Czarny wraca i zabiera jednego z czarnych, przewozi go, a później przewozi i ostatniego z czarnych.

TREŚĆ: Strusie hodowane (drzew.) — Do dziewczeczki, wierszyk p. Sewerynę Duchińską. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Opowiadanie pani Adamowej (z drzew.) — Gawędy podsłuchane u niemnowej fali p. M...a (dokończenie). — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówni, rozwiązania. W Dodatku: Maryanek (z drzew.) — Nieposłuszna Cesia. — Niezadowolone, opowiadanie Michał Krzemień. — Zadanie konkursowe z nagrodą. — Łamigłówni, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świderską.

MARYANEK.

Mały Maryanek był jedynakiem, wszyscy w domu troszkę zanadto go pieścili, tém bardziej, że chłopczyk często chorował. Mama ciągle się obawiała, ażeby mu to lub owo nie zaszkodziło, nigdy go do niczego nie

cioci. Ciocia ta miała kilkoro dzieci, jeden synek, Stefuś, o rok tylko starszy od Maryanka, odrazu się z nim zaprzyjaźnił. Obaj chłopczyki biegali razem po ogrodzie i bawili się wybornie, a Maryanek, który w mieście rzadko kiedy bawił się z dziećmi swojego wieku, był uszczęśliwiony. Pierwszy dzień zbiegł mu tak szybko, że ani się obejrzał, gdy wieczór nadszedł i chłopczyk,



Mały Maryanek.

zmuszała, a Maryanek troszkę się tym sposobem rozgrymasił. Nie lubił naprzykład umywać się zimną wodą, chociaż to bardzo zdrowo dla dzieci, latem więc nawet przynoszono mu do umywania wodę ogrzaną. Nie lubił także wstawać wcześnie i chociaż się przebudził, leżał czasem godzinę i dłużej w łóżeczku, a bona cierpliwie czekała, póki pieszczoszek, przypomniawszy sobie o śniadaniu, nie wydobędzie się w końcu z pościeli.

Rodzice Maryanka mieszkali w Warszawie, ale w tym roku mama pojechała z synkiem na całe lato na wieś, do

znużony biegiem, usnął smacznie w łóżeczku, a naza jutrz przebudził się wcześniej niż zwykle.

Zrazu Maryanek miał ochotę podrzemać jeszcze trochę w łóżku, ale przypomniał sobie, że jest na wsi, więc zerwał się i boso, w koszulce pobiegł do okna. Pogoda była śliczna, słońce świeciło jasno, ptaszki śpiewały w ogrodzie. Maryankowi odechciało się zupełnie leżeć w łóżeczku, nie czekając na bonę, która gdzieś wyszła, bo nie spodziewała się, że on tak rano wstanie, zaczął wciągać pończoszki i trzewiczki. A wtém usłyszał w dru-

gim pokoju plusk taki, jakgdyby kto odrazu całą konewkę wody wylał. Drzwi były odchylone, Maryanek otworzył je zupełnie, zajrzał i zobaczył, jak służąca oblewała wodą Stefusia od stóp do głowy, a on stał spokojniuteńko w ogromnej balii, ile razy woda się na niego połała, otrząsał się tylko i prychał, jak swawolny żrebaczek.

— Czy to ty się tak kąpiesz? — zawołał Maryanek zdziwiony — a czy ta woda ciepła?

— Ciepła! — wykrzyknął Stefuś, śmiejąc się — próbuj; to woda prosto ze źródła.

— Co, zimna woda? — spytał Maryanek, a niedowierzając zbliżył się i umoczył koniec palca w konewce — naprawdę zimna — rzekł przestraszony — jakże ty to możesz wytrzymać?

— Cha cha cha — zaśmiał się Stefcio — czy to ja piecuch jestem? taka zimna kąpiel jest bardzo przyjemna.

— Stefuś do tego przyzwyczajony — rzekła ciocia, która weszła w tej chwili do pokoju — i ty, Maryanku, żebyś spróbował raz i drugi, tobyś się przyzwyczaił. Mówiłam o tym właśnie z twoją mamą.

— Ach, ciociu! to taka okropna rzecz — mówił Maryanek z przestachem.

— Nie bójże się, nikt cię nie będzie zmuszał. Ale cóżto tak raniutko wstałeś? Mama twoja mówiła, że zwykle sypiasz do dziewiątej.

— Bo tak jakoś przebudziłem się i spać mi się już nie chciało; tak ślicznie na dworze.

— To bardzo dobrze — mówiła ciocia — raz drugi wstaniesz rano, to się przyzwyczaisz, a to bardzo zdrowo. Stefuś wstaje codziennie o szóstej przez całe lato, on już tak przyzwyczajony.

Chłopczyki ubrali się żwawo i po śniadaniu wybiegli zaraz do ogrodu. Stefuś miał swój własny maleńki ogródek, miał także różne małe narzędzia ogrodnicze, rydelek, grabie, taczkę, koneweczkę i pozwolił Maryankowi bawić się tym wszystkim. Chłopczyki wozili piasek taczką, jeden rozsypywał go na ścieżkach w ogródku, drugi wyrównywał małemi grabiami, a śliczna to była zabawa.

— Stefcu! wujaszek przyjechał! — zawołała mama z daleka — i Adasia przywiózł, chodź prędko!

— Wujaszek! — powtórzył Stefcio ucieszony — i Adaś! toż dopiero będziemy się wybornie bawili! — i chciał biedź prędko do domu, a wtém coś sobie przypomniał, chwycił taczkę i zawołał do Maryanka — bierz grabie i idź za mną, trzeba to odnieść do altanki i koneweczkę także.

— Pocóż to? — pytał Maryanek — nie można tu zostawić?

— Nie można — odrzekł Stefcio — bo to nieporządek.

Odnieśli wszystkie narzędzia do altanki, potem dopiero pobiegli śpiesznie i spotkali po drodze obie mamy, wujaszka i synka jego Adasia, chłopczyka tego samego wieku, co Maryanek i Stefcio.

— Nie mogliśmy się was doczekać — mówił wujaszek.

— Bo myślałem, że nie wrócimy zaraz do ogrodu — rzekł Stefcio — i musiałem wszystko poskładać.

— To dobrze, chłopcze — powiedział wujaszek — że taki jesteś porządny,

— O, on do tego jest przyzwyczajony — odezwała się mama Stefusia.

Znowu chłopczyki bawili się wybornie, teraz już w trzech. Wieczorem, gdy Maryanek miał już iść spać i sam został ze swoją mamą, zapytał się jęj z nienacka:

— Dlaczego to, mamuniu, ten Stefcio taki jest dziwny, że do wszystkiego się przyzwyczaja?

— Jakto? do czego to on się tak przyzwyczaja?

— Rano oblewają go całego wodą zimną, a on ani się skrzywi i śmieje się tylko. Ciocia mówiła, że on do tego przyzwyczajony. Wstaje codziennie raniuteńko bo i do tego przyzwyczajony. Sam wszystko zawsze poskłada, choć mu nikt nie przypomina, ciocia powiedziała wczoraj, że on już tak przyzwyczajony.

— Moje dziecko — powiedziała mama z uśmiechem — nietylko Stefcio, ale każdy może się tak samo przyzwyczaić do wszystkiego, byle chciał tylko. Dzieciom to bardzo łatwo przychodzi.

— Moja mamó — spytał Maryanek — czy naprawdę i jabym mógł przyzwyczaić się nawet do takiego okropnego oblewania zimną wodą?

— Ależ w tém niema nic okropnego, mój Maryanku — odrzekła mama — to rzecz bardzo zdrowa, żebyś tylko spróbował, pierwszy raz byłoby ci troszkę nieprzyjemnie, na drugi dzień łatwiejby już poszło, a w końcu przyzwyczaiłbyś się zupełnie, tak samo, jak i Stefuś.

— Mamó, ja jutro spróbuję — rzekł Maryanek,

Mama przypomniała mu to rano, troszkę się bała chłopczyka, ale mama posadziła go na kolanech, umoczyła dużą gąbkę w zimnej wodzie i zmywała go prędiutko, potem szybko ręcznikiem obcierała. Maryanek zaciskał ząbki, żeby nie krzyzczeć, ale tak mu było potem przyjemnie, tak rzeźwo, że i na drugi dzień pozwolił się obmyć. W kilka dni już zimna woda nie sprawiała mu żadnej przykrości i oblewano go całego w balii, tak samo, jak Stefusia. Przyzwyczaił się także i do rannego wstawiania, i do porządku, przekonał się, że mama dobrze mówiła, że kto chce, do wszystkiego przyzwyczaić się może.

NIEPOSŁUSZNA CESIA.

Mama często powtarzała małej Cesi, że zimnej wody pić nie można jeżeli się kto zgrzeje i jest spocony. Ile razy Cesia biegała po ogrodzie i zmęczona, zdyszana, prosiła o wodę, mówiąc, że jęj się strasznie, okropnie pić chce, mama kazała czekać, aż póki nie ochłonie i wtenczas dopiero pozwalała napić się wody niezbyt zimnej i nie bardzo dużo odrazu. Nie mówiła mama Cesi, dlaczego to robi, bo trudno dzieciom każdą rzecz objaśniać i tłumaczyć, powinny o tém wiedzieć, że wszystko, co rodzice każą, to dla ich dobrej. Dziewczynka była bardzo żywa, lubiła biegać, a jak tylko się zmęczyła, zaraz jęj się pić chciało.

Pewnego dnia był wielki upał, a Cesi przyszło do głowy w samo południe gonić się po dziedzińcu z psem.

Neptunem i tak się zgrzała, że pot kroplami zciekał jej z czoła i twarzy. Wbiegła do jadalnego pokoju, nie było tam nikogo, a na stole stała karafka z wodą, świeżuteńko ze źródła przyniesioną. Cesia wskoczyła na krzesło, nalala sobie pełnuteńką szklankę i duszkiem wypila. Nie zapomniała ona wcale, że mama nie pozwalała tego robić, ten głos tajemny, co się nazywa sumieniem i zawsze w sercu dzieci się odzywa, gdy coś złego robią, ostrzegał ją bardzo wyraźnie, jakgdyby ktoś mówił do niej.

— Ej, Cesiu, nie rób tego.

Ale Cesia nie usłuchała i tylko oglądała się, czy kto nie nadchodzi, a potem szklankę próżną postawiła na miejscu, karafkę korkiem zatknęła i poszła do drugiego pokoju. Wiedziała jednak, że Bóg ją widział, bo miała już sześć lat, nie była malutkiem dzieckiem, mama rozmawiała z nią nieraz o wszystkim, co dzieci wiedzieć powinny.

— Ach! jakaż ta woda była doskonała — myślała sobie Cesia — i dlaczego to mama niepozwala się napić wtenczas właśnie, kiedy się najbardziej pić chce?

Wkrótce się biedna dziewczynka o tém dowiedziała. Wieczorem nie wiedzieć czego tak jej się zimno zrobiło, że zaczęła się trząść cała. Mama to spostrzegła i przelekła się bardzo, bo takie dreszcze są znakiem choroby. Rozebrano Cesię, położono do łóżeczka, długo nie mogła się ogrzać. Posłano po doktora, a gdy przyszedł i obejrzał Cesię, zaraz się zapytał, czy czasem nie zgrzała się i nie napiła zimnej wody.

— Jak on to mógł zgadnąć? — pomyślała Cesia, spuściła oczy i milczała, ale gdy mama zaczęła się także dopypywać o tę wodę, cichuteńko odpowiedziała. — Tak — bo Cesia kłamać nie umiała.

Nieposłuszną dziewczynkę długo chorowała, miała straszną gorączkę, kaszlała, bolała ją główka, musiała brać różne gorzkie i brzydkie lekarstwa, nawet pijawki jej przystawiono. Gdy nakoniec wyzdrowiała, taka była osłabiona, że chodzić nie mogła, musieli ją wynosić na ręku do ogrodu. Mama nie łajała jej za nieposłuszeństwo, bo wiedziała, że biedna Cesia ciężko jest za to ukarana, ale ona sama raz przypomniała sobie tę zimną wodę, która jej tak smakowała i nawpół z płaczem powiedziała do mamy:

— Moja mamuniu, ja już nigdy nie będę nieposłuszną bo rozumiem teraz, że jak mama czego nie pozwala, to musi być coś złego i pewnie mi zaszkodzi.

NIEZADOWOLONE,

opowiedział Michał Krzemień.

— Trzrz!... aj! aj! jakże mi tu ciasno!... aj aj! trzrz!...

Tak zasyczało i zapiszczało coś cieniutkim, niewyraźnym głosikiem, w sporém jajeczku, leżącym obok czterech podobnych w gniazdku wielkości i głębokości miłeczki, jakiej się używa do zupy, zamiast talerza. Nad gniazdem zbudowany był troskliwie niby dach z tarniny, pod nim na gnieździe siedział delikatnie a szczególnie

osłaniając je skrzydłami, spory ptak pstrokaty. Było to w zielonym lasku, a ktokolwiek usłyszałby tylko głos, jakim ptak odpowiedział na ów pisk, pochodzący z jajka, ten od razu poznałby po głosie, że to sroka siedziała na swoim gnieździe.

Pani Srokska była ogólnie poważana w sąsiedztwie dla swoich cnót domowych i gospodarskich talentów, równie jak i pracowitości, czego wszystkiego dała jawny dowód w budowie gniazda, a szczególnie owego dachu nad niem, i w pieczołowitości, z jaką wysiadywała pięć zawartych w niem jajek. Sąsiedzi wróble, gile, wiewiórki nawet, z uszanowaniem spoglądali na jej piersi, z których nie jedno piórko już wypadło, tak z troski, jak i z odparzenia przy bezustanném siedzeniu na jajach, tak samo jak ludziom z kłopotów włosy z głowy wypadają. Biedna pani Srokska wynędniała z braku ruchu i niedostatecznej żywności, a mimo to wiernie pełniła dalej swoje obowiązki i nawet nie narzekała na nie zbytnio, jak to się zdarza i większym od niej stworzeniom w podobnych razach:

— Kochana pani Srokska! co pani robisz! pani zdrowie tracisz, zapominając tak o sobie dla pielęgnowania tych jajek! — mówił nieraz sąsiad, maleńki a żwawy pan Gilski, wielki strojniś, noszący zawsze czerwone kamizelki, który usiadłszy na gałązce leszczyny naprzeciw Srokskiej, huśtał się od niechcenia niby, błyskając przez to swoją świetną czerwienią z pomiędzy liści.

— A i cóż mam robić, robię to co powinnam; jeżeli się nie mylę, to acana żona coś podobnego też robi u siebie — odrzeczła Srokska.

— Ech, co tam moja żona, to osoba szczuplejsza od pani, więc nie wyparza sobie tak piórek, a przytém ja ją przecież wyręcam! — zawołał pan Gilski, lekceważąco machnąwszy skrzydełkiem przy wspomnieniu o żonie i dumnie błyskając kamizelką, gdy mówił o sobie.

— Ha, cóż robić, wdowom zawsze ciężiej na świecie... — westchnęła Srokska cicho, poprawiając się na gnieździe, aby wietrzyk nie dostał się do jajek.

— Tak to, tak, a nasze panie nie zawsze nawet podziękują, gdy ich wyręcamy! — odezwał się sąsiad z dołu pan Wróbleski, podskakując naokoło Srokskiej, gdy Wiewiórski, lokator z góry, z orzechem w łapkach i ogonem nad głową siedząc w górze, już otwierał pyszczek aby też coś powiedzieć; w tej właśnie chwili pisnęło coś po raz pierwszy w jednym z pięciu jajek pod skrzydełkiem Srokskiej. Srokska drgnęła z troskliwości o dźwignię i rzekła niecierpliwie do trzech natrętów, otaczających jej gniazdo:

— Moi panowie, nie mam ja zwyczaju mówić lekceważąco o osobach płci mojej, ale co do was, to powiem wam, że gdy w młodości mojej bywałam między ludźmi to widziałam i tam niektóre zwyczaje do waszych podobne. Mianowicie widziałam, że przed dorocznymi świętami, gdy panie bywały w domach bardzo zajęte, to panowie, uciekłszy z własnych domów przed zatrudnieniami gospodarskimi, wciskali się do cudzych, przeszkadzając obcym paniom w ich zatrudnieniach: brzydki to jest zwyczaj, moi panowie, wierzcie mi!

To powiedziawszy, Srokska żywo schyliła się do

piszcącego jajka, gdy trzej panowie, spojrzawszy na siebie, zawstydzeni czmychnęli, jak zmyci. Wiewiórski, skoczywszy do swojej dziupli, winał sobie, że nie wdawał się jeszcze w próżniacką gawędę, bo byłby także burę dostał. Gilski i Wróblewski, pofrunawszy na dzieśnięte drzewo, przysiedli, aby ochłonić po owęj burze:

— Patrzcie ją, jaka cięta! — rzekł Wróblewski, podskakując z gniewu.

— Zwyczajnie jak Srokska! one wszystkie są wygadane, i plotkarki z rodu — odpowie Gilski, poprawiając czerwoną kamizelkę, rozrzuconą trochę w przedniej od Srokskiej rejteradzie.

— A prawda, że Srokskie plotkarki bywają i gadaliwe, a jednakże ta nie lubi gawędy, to dziwne — rzecze Wróblewski.

— Ale lubi, lubi, tylko czasu niema w tych dzieciach tak zatopiona, że na nic więcej czasu nie ma. Ja nawet podejrzewam coś jeszcze, sądząc z jej wygadanego języczka!... — szepnął Gilski tajemniczo, kładąc pazurek na dziobku.

(d. c. n.)

ZADANIE KONKURSOWE Z NAGRODĄ.

Opisać, jakie są podobieństwa i jakie różnice pomiędzy kamykiem, kawałkiem cegły i kawałkiem drzewa. Z czego te trzy przedmioty podobne są do siebie, a czém się różnią? Odpowiedzi nie powinny być zbyt długie, najlepiej zająć do odpowiedzi, które w poprzednich konkursach otrzymały nagrody i były drukowane. Do tego konkursu mogą należeć dzieci tylko do lat 10-ciu. Odpowiedzi będą przyjmowane do 20 Października, najlepsze zostaną wydrukowane i odznaczone nagrodami. Prosimy bardzo kochanych dzieci, ażeby odpowiedzi pisały same, bez pomocy osób starszych.

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Wiewióreczki z nad Kamionki dla Kruszynki).

do		ka
to	miar	ko
Ziarn	ziarn	bę
dzie		ka

ROZWIĄZANIE DO N-ru 35-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

B O N A
O M A R
N A W A
A R A B

Skrzynka do listów.

Czarnuszcze z Mroczkowa. Przesłanego do naszej dyspozycji rubla oddaliśmy biednym dzieciom wygnańca z Prus, których jest pięcioro pod opieką Siostr Miłosierdzia, gdyż ojciec tapicer skaleczywszy rękę obecnie nie może pracować, matka zaś leży w szpitalu chora na tyfus. Polecamy ich też wszystkim naszym czytelnikom, a dla miejskich, którzy zechcą im przyjść w pomoc, dajemy adres ojca tych dzieci: Ignacy Kamiński Aleksandrya Nr. 7.

P. Oldzie Platerównie w Plinkszy. Katechizm i żądana historia wysłane. Kosztują wraz z przesyłką rs. 1 kop. 85. Z tem co pozostało dawniej w red. mieliśmy rs. 2 kop. 15—obecnie więc pozostało reszty kop. 30.

„Kochana Konwalio leśna! Chciałabym się z tobą poznać, ale nie wiem, czy to kiedy nastąpi. Kończę lat 9 uczę się w domu, mam 3-ch braci i 2 siostry, mieszkam na wsi w gub. radomskiej. Bardzo jestem ciekawa, czy masz rodzeństwo i gdzie mieszkasz. Stokrotka różowa.”

„Kochana Wierzbko z nad Wisły! Dotychczas na liścik twój odpowiedzieć nie mogłam, ponieważ byłam w Kołobrzegu, a tam „Wieczorów” mi nie przysyłano. Nazywam się Dosia, mam lat 13 uczę się z nauczycielką w domu. Wiktorya Regia.”

„Kochany Krakowianinie! Niedobry jesteś, że nie odpisałeś na mój list. Tatusz niezadługo będzie przejeżdżał przez Kraków i zapewne wstąpi do twoich rodziców. Ja jestem teraz na wakacjach w gub. Chersońskiej. Twoja Iskierka.”

„Droga Kalino! Bardzo mnie ucieszył twój liścik i chciałabym się dowiedzieć, gdzie mieszkasz i czy dużo masz rodzeństwa. Ja jestem jedynaczką, a chociaż Warszawianka mieszkam od roku w Wilnie. Życzliwa Iskierka.”

„Kachana Pszczółko litewska! Serdecznie przepraszam, że ci tak długo nie odpowiadała i na przeprosiny ofiaruję ci zagadkę, już dawniej do redakcyi posłałam Twoja Wielkopolanka.”

„Kochana Ukrainko na Mazowszu! Za odpowiedź dziękuję, uradowana jestem nadzieją poznania cię kiedyś, ale donieś mi jeszcze co o sobie. Wielkopolanka.” (Donosiliśmy już nieraz, że Ukrainka jest panienką dorosłą, o rok starszą od Wielkopolanki, imię ma Anusia. przyp. red.)

Sosenkom z nad rozmaitych rzek i Sosence z Dąbrowy, Ciępliwości i Wytrwałości, zasyła pozdrowienia Wielkopolanka.

„Kochana Wielkopolanko! Bardzo mi twój liścik ucieszył, ja mam też samo imię, co ty, jestem na pensji w Warszawie w klasie V i tylko na wakacje i święta przyjeżdżam do domu, na Podlasie. Twoja Córa i Jadźwągów.”

„Kochana Ukrainko na Mazowszu! Pamiętam ciebie doskonale, tylko mi to smuci, że jeśli ty mnie przypominasz sobie, to pamiętasz mnie jako bardzo kapryśne dziecko. Teraz nie byłabym się wyjęć do miasta w twoim towarzystwie. Niezmiernie będę rada korespondować z tobą, Mama moja bardzo kocha twoją Mamę, a więc i my kochajmy się Twoja Bławatka z nad Horynia.”

Zawiei Ukrainkiej, dziękując za uścisk, przesyła serdeczne uściśnienie Bławatka z nad Horynia. (Nazwisko i miejsce zamieszkania Zawiei trafnie odgadła Bławatka przyp. red.)

Na kolonie letnie złożyli: Zeneida G. Rs. 1 — Kostus G. 20 kopiejek. Olo G. 20 kop. — T. G. 60 kop.